

Terry Pratchett

"Teatr okrucieństwa"

Opowiadanie ze Świata Dysku

Był piękny letni poranek. W taki dzień człowiek aż się cieszy, że żyje. Człowiek leżący na ziemi zapewne również chciałby się tym cieszyć - był jednak martwy. Tak martwy, że bycie w choć minimalnie większym stopniu martwym wymagałoby przejścia specjalnego szkolenia.

- Dobrze - powiedział sierżant Colon (strażnik, Straż Miejska Ankh-Morpork) - Jak dotąd ustaliliśmy, że przyczyną zejścia było: a) pobicie na śmierć co najmniej jednym tępym narzędziem, b) uduszenie pętem kielbasek, c) atak przynajmniej dwóch dzikich zwierząt o długich, ostrych zębach. I co teraz, Nobby?

- Teraz aresztujemy podejrzanego, panie sierżancie! - zawołał kapral Nobby, salutując.

- Podejrzanego, Nobby?

- Znaczy, jego - wyjaśnił Nobby, trącając zwłoki czubkiem buta - Jak dla mnie, to takie leżenie trupem pośrodku ulicy wygląda bardzo podejrzanie. W dodatku podejrzanym był. Moglibyśmy go aresztować za niechlujstwo i za nieżywotność.

Colon podrapał się w głowę. Aresztowanie zwłok miało, oczywiście, pewne plusy. Jednak...

- Coś mi się widzi - powiedział powoli - że kapitan Vimes chciałby, żeby tę sprawę załatwić. Zabierz no lepiej to ciało do wartowni, Nobby.

- A potem będziemy mogli zjeść kiełbaski, panie sierżancie? - spytał kapral Nobbs.

Żywot najstarszego stopniem policjanta w Ankh-Morpork, najwspanialszym z miast Świata Dysku*, nie był usłany różami. Czasami, gdy kapitana Vimesa nachodził pochmurny nastrój, myślał sobie, że gdzieś tam zapewne istnieją światy bez czarnoksiężników (przez których zagadki zamkniętych pokojów były na porządku dziennym) i bez zombich (śledztwa w sprawie morderstwa wyglądały naprawdę dziwnie, gdy ofiara była jednocześnie głównym świadkiem), i gdzie można było być pewnym, że psy nie będą niczego robić nocami ani nie zaczną sobie ucinać z ludźmi pogawędek. Kapitan Vimes wierzył w logikę. Wierzył w nią mniej więcej w ten sam sposób, w jaki człowiek na pustyni wierzy w lód - innymi słowy, traktował ją jak rzecz niezbędną, lecz nie pasującą do świata, w którym przyszło mu żyć. "Jak dobrze byłoby choć raz w życiu coś naprawdę rozwiązać" - pomyślał.

Spojrzał w siną twarz leżących na kamiennym stole zwłok i poczuł dreszczyk emocji. W tej sprawie istniały autentyczne ś. Nigdy wcześniej nie zetknął się ze śladami z prawdziwego zdarzenia.

- Tego nie mógł zrobić rabuś, panie kapitanie - oznajmił sierżant Colon - Dlatego że kieszenie zwłok są pełne pieniędzy. Jedenaście dolarów.

- Nie nazwałbym tego "kieszeniami pełnymi pieniędzy" - zauważył Vimes.

- Pełne, bo to były monety, panie kapitanie. Same drobiazgi. Aż dziwne, że jego spodnie to wytrzymały. W toku śledztwa ustaliłem również, że pracował w showbiznesie, panie kapitanie. W kieszeniach miał wizytówki - "Chas Slumber - Rozrywki i Przedstawienia dla Dzieci".

- Jak sądzę, nikt niczego nie widział? - spytał Vimes.

- Cóż, panie kapitanie - wyjaśnił zawsze skory do pomocy sierżant Colon - kazałem młodemu Carrotowi znaleźć paru świadków.

- *Kapralowi Carrotowi?* Wysłaliście go, żeby *sam* prowadził śledztwo w sprawie morderstwa? - zapytał Vimes.

Sierżant podrapał się po głowie.

- No, wtedy on mnie spytał, czy znam kogoś starego i schorowanego...

W magicznym Świecie Dysku zawsze znajdzie się jeden świadek każdego morderstwa. Ostatecznie taką właśnie ma pracę.

Konstabl Carrot, najmłodszy członek Straży Miejskiej Ankh-Morpork, często sprawiał na ludziach wrażenie prostodusznego. I właśnie taki był - człowiek o prostej duszy, ale prostej w ten sam sposób, w jaki prosty jest miecz albo atak znienacka. Oprócz bycia prostodusznym, był również prostolinijny; był najprawdopodobniej najbardziej prostolinijnie myślącą osobą w dziejach wszechświata. Jego myśli dążyły bowiem do celu po najprostszej z możliwych dróg - linii prostej.

Konstabl stał właśnie przy łóżku staruszka, który najwyraźniej cieszył się z jego towarzystwa. Stał tam już przez pewien czas - i właśnie w tej chwili nadeszła pora na wyjęcie notatnika.

- Wyjaśnijmy to sobie od razu, proszę pana - powiedział - *Wiem*, że coś pan musiał widzieć. Był pan na miejscu zbrodni.

- *CÓŻ, W RZECZY SAMEJ, BYŁEM* - odparł Śmierć - *I TAMTO NALEŻAŁO DO MOICH OBOWIĄZKÓW. ALE TO JEST ZDECYDOWANIE NIEZGODNE Z ZASADAMI...*

- Widzi pan - powiedział kapral Carrot - sądzę, że w świetle prawa nie tylko był pan na miejscu zdarzenia, ale i pomógł pan przestępcy. Przed lub po zdarzeniu.

- *MŁODY CZŁOWIEKU - JA JESTEM TYM ZDARZENIEM.*

- Ja zaś jestem stróżem prawa - odparł kapral Carrot - Prawo musi istnieć i powinien pan to rozumieć.

- CHCIAŁBYŚ, ŻEBYM... EEE... WYKABLOWAŁ KOGOŚ? ŻEBYM CI KOGOŚ WYSTAWIŁ? ZABAWIŁ SIĘ W KANARKA? NIE. NIKT NIE ZAMORDOWAŁ PANA SLUMBERA. NIE MOGĘ CI W NICZYM POMÓC.

- No, nie byłbym tego taki pewien, proszę pana - powiedział Carrot - Sądzę, że właśnie pan mi pomógł.

- CHOLERA.

Śmierć odprowadził Carrota wzrokiem. Kapral pochylił głowę, schodząc wąskimi schodami prowadzącymi do wyjścia z chatki.

- GDZIE TO JA BYŁEM...

- Przepraszam bardzo - odezwał się zasuszony staruszek z łóżka - Ja mam 107 lat. Nie mogę tak sterczeć przez cały dzień.

- ACH, TAK, RACJA.

Śmierć naostrzył kosę. Po raz pierwszy pomógł w pracy policji. Ale ostatecznie każdy miał jakąś pracę do wykonania.

Kapral Carrot szedł przez miasto spacerowym krokiem. Wymyślił Teorię. Przeczytał kiedyś książkę o Teoriach. Dodawało się do siebie wszystkie ślady i otrzymywało Teorię. Wszystkie elementy musiały do siebie pasować. Skoro zaś były kiełbaski, to musiał być też ktoś, kto je kupił. Poza kiełbaskami były też drobne pieniądze - a zwykle tylko jedna podgrupa ludzkiego gatunku płaci drobnymi.

Po drodze wstąpił do masarni. Napotkał też grupkę dzieci i przez chwilę z

nimi rozmawiał. Potem, nie spiesząc się, wrócił do alejki, w której kapral Nobbs skończył zaznaczać kredą obrys ciała. Oprócz tego, Nobby pokolorował obrys, dorysował mu fajkę w ustach i laskę w ręce, a do tego dodał parę drzew i krzaczków w roli tła - przechodnie zaś zdążyli już wrzucić do hełmu kaprała siedem pensów. Carrot skierował się w koniec alejki. Tam przez chwilę przyglądał się sporej stercie śmieci, a następnie przysiadł na popękanej beczce.

- W porządku... możecie już wyjść - powiedział, nie kierując swych słów do nikogo w szczególności - Sądziłem, że na świecie nie ma już krasnoludków.

W stercie śmieci dał się słyszeć jakiś ruch - a potem wyszli z niej. Mały, przygarbiony człowieczek w czerwonej czapie i z zakrzywionym nosem, maleńka kobieta w ozdobnym kapeluszu na głowie i o wiele mniejszym od siebie dzieckiem na ręku, miniaturowy policjant, pies z obrozą wokół szyi, a wreszcie bardzo niewielki aligator.

Kapral Carrot siedział i słuchał.

- On nas do tego zmusił - powiedział mały człowieczek. Miał zaskakująco głęboki głos - Bił nas. Nawet aligatora. Tylko tyle potrafił - uderzać wszystkich kijem. Zabierał też wszystkie pieniądze, które zebrał piesek Tobby, i upijał się za nie. A potem uciekliśmy, a on złapał nas w alejce i zamierzył się na Judy i na dziecko, i przewrócił się, i...

- Kto pierwszy go uderzył? - spytał Carrot.

- My wszyscy!

- Ale niezbyt mocno - powiedział Carrot - Jesteście za mali. Nie zabiliście go. Mam niepodważalne zeznanie świadka, który może to potwierdzić. Dlatego przyjrzałem się jeszcze raz trupowi - on się udławił. I dlatego umarł. A to - co to takiego?

Pokazał im mały skórzany krążek.

- To żłopek - powiedział mały policjant - Robił nim głosy. Mówił, że nasze nie są wystarczająco śmieszne.

- W taki sposób powinno się to robić! - oznajmiła mała Judy.

- Miał to w gardle - powiedział Carrot - Sugeruję, żebyście uciekli. Tak daleko, jak możecie - i nie dalej.

- Myśleliśmy o zorganizowaniu spółdzielni - oświadczył pierwszy krasnoludek.

- Wie pan... dramat eksperymentalny, teatr uliczny... takie właśnie rzeczy. Zamiast bicia się nawzajem kijami.

- Biliście się kijami na pokazach *dla dzieci*? - spytał Carrot.

- On mówił, że to nowy rodzaj rozrywki. Że to szybko chwyci.

Carrot wstał i wyrzucił żłopek na stertę śmieci.

- Ludzie nigdy czegoś takiego nie zaakceptują - oznajmił - Nie powinno się w taki sposób tego robić.

* Świecie, który jest płaski i płynie poprzez wszechświat na skorupie ogromnego żółwia - bo właściwie czemu nie.

"Teatr okrucieństwa" został pierwotnie napisany jako opowiadanie dla magazynu "Bookcase" W. H. Smitha. Powyższą, poszerzoną wersję opowiadania wydrukowano później w programie zlotu OryCon 15.

Istnienie tej wersji opowiadania jest możliwe dzięki szczodrości autora, który dopuścił swe dzieło do rozpowszechniania w sieci i jednocześnie zastrzega sobie do niego wszelkie prawa. Jak ujął to sam Terry Pratchett: "Nie chcę go widzieć rozpowszechnianego w druku, ale nie mam nic przeciw temu, by ludzie ściągali je sobie z sieci dla własnej przyjemności".

Przełożył [Jaromir Król](#).